

# WIKTORYA REGINA,

ZE WSPOMNIEN NARZECZONEJ.

ULOŻYŁ

*Jan Zacharyasiewicz.*

---

(Ciąg dalszy).

## XVI.

W dniach następnych zacierało się z wolna to czarne widmo na drodze mego szczęścia. Ewunia, Stanisław i Cezaryusz byli niewyczerpani w najrozmaitszych projektach zabawy i rozrywki. Nie dano mi przyjść do wolnego oddechu. Chwytałam pełną piersią powietrze, a jednak brak mi go było w piersi. Byłam podobną do człowieka, którego po raz pierwszy wprowadzono do pysznej galeryi obrazów; nie pozwolono mu jednak ani na chwilę stanąć przed jednym obrazem, tylko popychano go coraz dalej, od jednego arcydzieła do drugiego. Czuł że mu na widok sztuki serce mocniej bije, dziwny dreszcz przebiegał jego nerwy, ale nie stało czasu, aby ten dreszcz rozkoszny spotęgował się do świadomego siebie uczucia, i wcielił się w duszę, gdzieby cząstką życia pozostał na zawsze!

Inaczej zdawało się Ewuni. Według jej mniemania ten szal bezwiedny, to odurzenie duszy potrzebne było do gruntownej i uroczystej instalacyi miłości. W taki a nie

inny sposób, miał bożek miłości, ów nowy lokator wprowadzić się do mego serca i tamże urządzić się wygodnie i stale.

A kiedy sądziła, że installacya tego nowego gościa w przygotowanym dlań przybytku już się odbyła z wszelkimi formalnościami, cofnęła się do Brzozówki, zostawiając narzeczonych samym sobie.

Wdzięczną jej byłam za tę teorią życia i miłości; nie dla tego, abym się na nią zgodziła, ale po prostu pragnęłam chwili wytchnienia. Chciałam być sama sobą, chciałam z tego wyjątkowego oszołomienia uratować dawną moją istotę, i z nią obrachować się o nowe warunki życia; wiedziałam bowiem, że to wszystko, co w tych wyjątkowych chwilach przeżyłam, nie było życiem normalnem ale snem rozkosznem. Prędzej czy później musiał ten sen zejść w krainę rzeczywistości, a byłabym nieskończenie nieszczęśliwą, gdyby rzeczywistość nie chciała się pogodzić z czarami snów moich, i stała się dla mnie okropnem a dzisiaj tak powszedniem — rozczarowaniem.

Instynkt kobięcy radził mi zawsze sny moje nastrajać do tonu rzeczywistości, o ile to było w mojej mocy; ale z drugiej strony chciałam znowu stworzyć sobie taką rzeczywistość, któraby wszystkie sny moje chętnie w swoje granice przyjąć mogła!

To też bardzo na rękę była mi chwila wytchnienia, jakiej użyczyła mi teraz Ewunia. Pod pozorem, że gospodarstwo i lekka słabość córeczki wymagają jej obecności nieustanniej w Brzozówce, zakończyła swoje przejazdkę do nas a nawet do siebie nie bardzo nas zapraszała; dała nawet do poznania, że Stanisław dla wyrobienia niektórych interesów swoich potrzebuje nieco spokoju.

Przejrzałam odrazu całą jej teoriijkę. Z uśmiechem pożegnała mnie, żałując, że w tak pięknych chwilach życia nie może być ciągłą moją towarzyszką; wymowne jej jednak oczy mówiły mi wcale co innego. Przewidywały one z rozkoszą tajemne wzruszenia, jakich doznawać będzie serce moje, gdy rozmawiając lub przechadzając się z narzeczonym, nikt naszych słów słuchać nie będzie, tylko pogodnie niebo boże, lasy zielone, kwiatki wonne i ciche gwiazdy nocy lipcowej...

I ucałowała mnie z namiętnością młodej kobiety, której nagle stanęły przed oczy sny tak niedalekiej, a dziś już niepowrotnej przeszłości!...

Wkoło mnie zrobiła się nagle cisza. Ojciec zajęty był gospodarstwem, a może nawet i sam schlebiał w duchu teoryjce Ewuni. Najczęściej byłam sama z Martą, moją piastunką, która mnie na rękach swoich wychowała. Cezaryusz nie zawsze mógł być ze mną. Choć byłam jego narzeczoną przestrzegał zawsze wszelkich form światowych; dopiero około południa wchodził w nasze towarzystwo: po południu przepędzał także kilka godzin w swoim pokoju albo na przechadzce.

Oprócz miłości zaintrygowała Ewunia do naszego domu jeszcze inną, mniej do rzeczywistości zbliżoną sprawę. Potrzeba było zająć się nieuniknioną wyprawą. Ewunia zrobiła początek, dała plan a resztę pozostawiła mi samą.

W zwykłym życiu wyprawa zajmuje cały czas narzeczonej. Gdyby mężczyzna wiedział, jak małą rolę odgrywa w tym czasie w sercu i wyobraźni narzeczonej, namyślałby się niezawodnie, czy ma z ideałem swoim przystąpić do ołtarza, czy zostawić go komu innemu z wszystkimi temi napięciami, które wprowadzie próżność kobiety łechcą, ale małżonkowi ani jednej chwili szczęścia nie przysporzą!... Zaiste, ileżto razy szczęśliwy narzeczonny wchodząc do swojej bogdanki widzi na jej rozgnionej twarzy wyraz szczęścia i radości! Całuje namiętnie drobną rączkę, która drży od wielkiego wzruszenia. Pewny, że to jego widok zarumienił tę twarz sentymentalną, poruszył wszystkie nerwy tej pięknej rączki... a to tymczasem przed chwilą przyniósł krawiec nową suknię, a kupiec pakę szalów i koronek brabanckich!...

Być może, że te słowa nie podobają się towarzyszkom moim; ale kobiecie wolno czazem zdradzić sekret i nazwać rzecz po nazwisku: gniew jest pierwszym stopniem poprawy, a poprawy w tym względzie potrzeba nam bardzo!...

Nie mając matki musiałam sama myśleć o mojej wyprawie. Wprawdzie część tej pracy wzięła stryjenka na siebie, to przecież zostało mi jeszcze sporo rzeczy do załatwienia. Ojciec bowiem należał do ludzi dawniej daty; był



tego zdania, że wyprawa powinna być świetna i rzeczywiście coś warta: blichtru i szychu nie lubił.

Przyznam się że krzątanie to około wyprawy naprowadzało mnie na dziwne myśli. Razu jednego, gdy kilkanaście sztuk płótna mierzono na łokcie, krajano i darto w sposób najrozmaitszy, zapytał mnie Cezaryusz:

— Czegoż tak zamyślona patrzysz pani na tę robotę?

— Bo to przypomina mi dwie skrajne epoki życia! — odpowiedziałam. Tak samo krzątają się, krajają i szyją, gdy się człowiek narodzi, lub gdy umrze!

— A czemże jest ta epoka, dla której to wszystko teraz się robi? — z uśmiechem podjął Cezaryusz.

— Czémś pośredniem — odpowiedziałam bez namysłu.

— Jakto pośredniem?

— Bo nie wiedzieć, czy się kto rodzi czy umiera!

— Zdaje mi się, że się rodzi do nowego życia, a co jest w nim stare: umiera!

— Ach! to pan niesłusznie sądzi! — odparłam żywo.

— A jakież zdanie pani w tym względzie? — z uśmiechem zapytał pan Cezaryusz.

Patrzałam chwilę na twarz narzeczonego, a potem rzekłam:

— Człowiek nie jest gąsiennicą, aby przechodząc z jednej fazy życia do drugiej, zostawiał za sobą swoją skorupę. Człowiek powinien cały przejść z jednej epoki życia do drugiej. Nic nie powinien mieć w sobie takiego, co by musiał przed progiem wyrzucić. Umierać w nim nic nie powinno. Co nie możemy z sobą nieść przez całe życie, jest kontrabandą życia! A sumienie nasze powinno być owym celnikiem, którego widok ostrzegać nas powinien przed wszelką kontrabandą!

Na te słowa dziwnie spojrział na mnie pan Cezaryusz; zdawało mi się nawet, że był nieco zakłopotany.

— Gdybym wiedziała — mówiłam po chwili z uśmiechem — że pan masz co w życiu, co przed ślubem chciałbyś za progiem zostawić, toby mnie mocno zmartwiło, a nawet nie wiem....

— Niepokój serca jest wielkiem nieszczęściem — poderwał szybko Cezaryusz — a pani lubisz nawet bawić się tym niepokojem. Życie bierzesz pani jak towar wyborowy u ku-

pca. Tak jednak nie jest. U kupca widzisz pani same dojrziałe, ładne, zdrowe jabłka: tymczasem na jabłoni jest inaczej. Wieleżto niedojrzałego owocu opadnie przed czasem, a wiele wśród dojrzłości robak powierci! Przecież nikt nie gniewa się na jabłoń, że tyle owocu zmarnowała, ale cieszy z tego, co na jabłoni zostało i dojrzało!

Wzięłam go za rękę i serdecznie ścisnęłam. Widziałam, że jego twarz ożywiła się niezwykle, a to było dla mnie dobrą oznaką, że mój narzeczony jest przystępny dla wyższych, nie zbyt codziennych myśli.

— Mylisz się pan — rzekłam żywo do niego. — Cieszy nas owoc dojrzający na jabłoni, ale życie nasze to nie jabłoń, ale jedno jabłko na jabłoni! Gdy to zwiednie i nie dojrzeje, lub gdy jaki robak wkradnie się w wnętrze jego i je potem roztoczy, to już wszystko stracone! Inne jabłka co się ostały i dojrzały, to inni ludzie, którzy się strzegli aby wcześniej nie zwiednąć i żadnego robaka do swojej duszy nie dopuścić!....

Mówiłam to z uśmiechem patrząc w oczy Cezaryusza. Cezaryusz spuścił oczy w ziemię, jakby mój wzrok sprawił na nim niemiłe wrażenie; potem podniósł głowę i jak mi się zdawało, z pewną trwogą spojrzął na mnie: w jego spojrzeniu malowała się widocznie chęć do czytania czegoś z mojej twarzy.

Widząc to zakłopotanie Cezaryusza uczułam wyrzut, że przez igraszkę słów i myśli zaniepokoiłam jego serce. Prawdopodobnie niekorzystnie wydałam mu się w tej chwili. Chciwa ustawicznej dysputy zastraszyłam go moim duchem opozycji; potrzeba więc było naprawić złe zrządzone. Uściśnęłam mu rękę i rzekłam z uśmiechem:

— Widzisz pan, jak skromną jestem w marzeniach moich. Pan chcesz mieć życie całej jabłoni, ja tylko jednego jabłka! Ucz się pan odemnie ekonomii szczęścia! Kto mało żąda, umie małym być szczęśliwym!

— Inaczej nie byłabyś pani *mnie* wybrała! — odparł dowcipnie Cezaryusz.

Chciałam mu coś na to również dowcipnego odpowiedzieć, ale pomyślawszy chwilkę, postanowiłam pozostawić go przy ostatniem, lepszym słowie. Mężczyźni lubią to, a i dla kobiet lepiej jest, jeśli mężczyznom zostawia tę wia-



re, że po skończonej walce na placu bitwy biwakowali. Chciałam także sama przyswoić sobie to przekonanie, że Cezaryusz rzeczywiście na placu bitwy się ostał.

Kobieta kocha w mężczyźnie jego wyższość nad sobą.

## XVII.

Spokój jaki teraz na chwilę zawitał w życiu mojem, pozwolił mi nieco przyjść do siebie. Przynajmniej miałam wolne całe ranki; miałam więc dość czasu, aby obok innych zatrudnień rozmyślać o tak ważnym kroku, jaki uczynić zamyślałam.

Nie było chwili, aby mi się w tym względzie najrozmaitsze myśli nie nasuwały. Układałam sobie różne programiki życia i chciałam je Cezaryuszowi przedłożyć do sankcji pod warunkiem ustąpienia z ministerstwa. Ale jeden programik po drugim przepadał: temu brak było życia już w samej zarodzie, tamten znowu był wprost niewykonalny. Piękne myśli moje które połyskiem swych barw tęczowych tak mnie w ciemnościach nocy bezsenniej zachwycały, blakły i poupadały przy świetle słońca lipcowego, które już rano moją sypialną komnatę oświecać zwykło!...

Wreszcie odrzuciłam wszystkie naprzód powzięte plany i programiki i weszłam na inną drogę.

Oto, chciałam z najrozmaitszych wspomnień moich odtworzyć własną moją postać i z blizka jęj się przypatrzeć; chciałam potem zrobić sobie jak najwierniejszy wizerunek mego narzeczonego i postawić go obok siebie, aby wiedzieć ile zgody lub kontrastu jest między nami; do tych dwóch wizerunków chciałam dodać rzeczywistość, która nas jako tło otaczała: chciałam w końcu zbadać, czego rzeczywiste stosunki, które nas z ogółem wiążą, od nas dwojga wymagają, i czy my tym wymaganiom razem zadość uczynić możemy. Tylko zgoda i jedność z tém wszystkiem, mogła moje szczęście stanowić: najmniejszy rozstrój między nami byłby dla mnie nieszczęściem!

Zaczęłam więc od siebie: nie było mi trudno wykonać tę pracę. Poznałam, że mimo wszelkich małych i większych wydarzeń wcale się nie odmieniłam. Byłam zawsze

jedną i tą samą. Byłam podobną do patrzącego w wodę kryniczną. Chwilowy powiew wiatru zamącił falą wizerunek patrzącego. Twarz, nos, oczy zaczęły na drugiem zwierciadle wcale inne kształty przybierać; zdawało się, że cała twarz się zmieni: tymczasem ustał wiatr, fala uspokoiła się, a patrzący w wodę ujrzał taki sam wizerunek, jaki był z początku widział!

Tak też stało się i ze mną. Ewunia źle mi przepowiedziała: ona sądziła, że nowa fala wzruszeń jaka w mém życiu nadeszła, zmieni moją istotę i opłucze ją z wszelkich mrzonek i pragnień niezwykłych. Zdawało jej się nawet, że mącąc przez kilkanaście dni ustawicznie zwierciadło duszy mojej, iż się już zupełnie zmieniłam, zostawiając całą istotę moją dawną za sobą!....

W podobny błąd popada większość kobiet wstępując na ślubny kobierzec: ztąd tyle nieszczęść i rozczarowania.

Wględnawszy w siebie głębiej, nie chciałam iść tą drogą chwilowego szału. Wiedziałam że szal przeminie a długie życie się zacznie. Nie pragnęłam tylko chwilowego upojenia, ale pragnęłam szczęścia długiego jak życie, pogodnego i gorącego jak niebo lipcowe!....

To też przez mgły chwilowych i wyjątkowych wzruszeń ujrzałam na dnie mój dawny, niczem nie zmacony wizerunek. Nie umiem powiedzieć: czy mi to sprawiło radość, że sama siebie napowrót odszukałam, czy boleść, że inną być nie mogę; był to jednak zawsze fakt, który uwzględnić należało.

Przystąpiłam do rozpoznania ze zbliżonego teraz stanowiska wizerunku mego narzeczonego. Byłam narzeczoną, a to dawało mi możność poznać bliżej tego, któremu miałam oddać całe życie moje.

Być może, że takie postępowanie znamionowało zbyt zimną temperaturę mego serca; być może, że podobne uczucie, jakie miałam dla Cezaryusza nie nazywa się miłością. Nie przeczę nawet temu, że mimo wszelkich odległych formalności, mimo wszelkich oznak pozornych i przyjętych zobowiązań nie kochałam Cezaryusza; miłość bowiem prawdziwa, która ogarnie dwa serca, ma się zupełnie inaczej przedstawiać. Jest ona pewną siebie i nic naprzód nie oblicza; wie ona instynktem, że wzięła w posiadanie



skarby nieprzebrane, z których można pełną garścią brać przez całe życie! Obliczać nie potrzeba się tam, gdzie są zasoby przez czas niespożyte!...

O takiej też miłości marzyłam od lat najmłodszych, ale jęj nie znalazłam! Wytrwałam długo w wierze, że ją koniecznie znaleźć muszę; ale powiedziano mi, że takiej miłości na ziemi niema, że żyje ona tylko w pragnieniach i wyobraźni kobiety! Starano się mnie przekonać, że to już jest dobre, co się do tego ideału zbliża!

Wreszcie, po długiej, bolesnej walce dałam się przekonać i uległam. Wprawiło mnie to wprawdzie w pewien rodzaj szafu, ale szaf ten mógł być tak samo skutkiem każdej nowej sytuacji życia, jak kwiatem rozbudzonego w głębi duszy uczucia. Potrzeba więc było wezwać na pomoc rozsadek i może nieco zimniej, jakby kochającej kobiecie przysało, obliczyć się z sobą, i z tém, co jęj najbliższa przyszłość dać może! Bądź co bądź, nie mogąc się rzucić w nieznaną otchłań z zawiązanemi oczyma, musiałam do niej wstąpić mając oczy otwarte.

Prócz tego, słowa mojej krewnej: że narieczona może cudów dokonać, brzmiały mi nieustannie w uszach. One to były powodem, żem na razie zgodziła się z tém, co mi świat codzienny daje. Nie wyrzekłam się jednak nadziei, że ten powszedni dar świata będę mogła podnieść z czasem do ideału! Byłam tego przekonania, że mam dopiero w rękach materyał do szczęścia, ale szczęście moje jeszcze daleko odemnie!... Miałam więc dopiero sztucznie—jeżeli inaczej być nie mogło—stworzyć sobie to szczęście, jakiego w snach moich pragnęłam!—

## XVIII.

Cezaryusz zyskiwał wiele przy bliższém poznaniu. Patrząc na niego z uwagą widziałam w nim dwie, że tak powiem, istoty, dwóch ludzi. Jeden z nich był to człowiek zwykły, codzienny. Zrodził on się daleko później po chrzcie Cezaryusza. Stworzyło go wychowanie, nauka i stosunki światowe. Guwerner, ludzie, towarzystwo i różne wypadki życia dokładali kolejną rękę do tego: było to, jak mówią politycy, państwo w państwie.



Drugi, starszy człowiek, to jest ten, który z rąk Stwórcy wyszedł, był na drugim planie i rzadko kiedy okazywał swoje oblicze. Mimo, że był piękniejszy od pierwszego, mimo, że twarz jego nosiła niezatarte piętno podobieństwa stwórcy, krył się wstydliwie poza plecyma młodszego brata, jakby w obec niego czuł się mocno upośledzonym!

Spostrzeżenie to sprawiło mi radość nie lada. Są bowiem ludzie, którzy tę pierwotną istotę swoją na śmierć zabijają; u nich jest tylko ten młodszy, sztucznie utworzony człowiek: są to automaty ruszające się według panujących wyobrażeń najczęściej fałszywych przesądów i foremek towarzyskich.

Cezaryusz nie pozbył się jeszcze pierwotnej, wrodzonej istoty swojej; przemagał w nim wprawdzie człowiek dzisiejszy, powszedni, żyjący stereotypowymi foremkami i świecący wypolerowaną powierzchownością. Niewtajemniczone oko nie widziało poza nim nikogo innego; ja jednak dostrzegłam, że za nim kryje się ten, którego właściwie szukałam! Wychylał on zawsze do mnie oblicze swoje przy każdym, znaczniejszém wezbraniu serca i uśmiechał się uśmiechem łagodnym skazanego za pokutę anioła! Zaczęłam go powoli ośmielać, a on za to tém wdzięczniej uśmiechał się do mnie!... Ale to wydarzało się tak rzadko, a za to tém częściej mizdrzyła się do mnie wymuskana, bezmyślna twarz młodszego brata!...

Cezaryusz wywiązywał się z trudnej roli narzeczonego, odpowiednio swemu położeniu.

Wyobrażam sobie różnego zawodu narzeczonych. Jest to chwila, w której odkrywa się człowiek i jasno czynami wypowiada, jak miłość pojmuje, i czem dla niego jest kobieta. Gdyby każda narzeczona pilną uwagę na to zwracała, poznałaby, czem jest jój przyszły towarzysz życia, i czem na przyszłość dla niej będzie.

I tak np. wyobrażam sobie poetę, dla którego narzeczona staje się natchnieniem. Co ma najdroższego, owoc tego natchnienia, poezya, daje jój w ofierze: ofiara ta należy się jój, bo od niej wyszła.

Artysta, pisarz, przetwarzają w najrozmaitszém oświeceniu twarz ukochanej osoby we wszystkich tworach swoich. Znajdziesz ją w rysach świętej męczennicy, zamordowanej

w katakumbach rzymskich, poznasz ją w postaci anioła tryumfującego nad próżnym grobowcem Chrystusa!... Czasami melancholijna wyobraźnia twórcy zarzuci na jej świeżą twarz gęstą sieć zmarszczków i uwięzi ją w postaci sędziwej, która przez burze życia i wiek, wiele łez gorzkich za sobą uroniła!... A niekiedy się zdarza, że szarpana boleścią pierś artysty, wyzionie zasłużoną żółć z siebie, i twarz ukochanego niegdyś anioła rzuci na obnażone ramiona bachantki i każe jej wśród pijanych satyrów wykonywać taniec szalony!... Patrzcie na tę twarz jeszcze piękną a tak strasznie wypotworzoną! Artysta stworzył ją w najwyższym bólu, a jednak tworzył ją nie bez rozkoszy!... Patrzcie, jak idealnie narzucił karminem te usta, z jakim rozmiłowaniem płatał ten włos złoty wkoło tej głowy prześlicznej i na tych śnieżnych ramionach!... On w boleści—kochał jeszcze niegodną!...

W jakim sposób inni ludzie objawiają swoją miłość dla drugiej istoty?

Ludzie zwyczajni mają także swoje sposoby objawiania miłości. Każdy według swego położenia.

Człowiek niższych przymiotów zbliża się do ukochanej kobiety, jakby ją widział stojącą na wysokim piedestale. Bierze na siebie szaty świąteczne i w prostocie swojej dobiera słów wyszukańszych. Zdaje mu się, że do niej trzeba iść w górę, po wschodach. Aby być jej godnym stara się być lepszym, pocziwszym, rozumniejszym.

Człowiek codziennego zarobku pracuje kilka godzin dłużej na dzień, aby dla ukochanej istoty uzbierać więcej zasobów. Daje jej to, co ma jedynego w życiu: pracę swoją. Innym sposobem nie może okazać, że ją kocha.

Jeżeli bogaty bankier dla wytchnienia w spekulacyjnych marzeniach swoich jakiegoś idealniejszego uczucia zapagnie, przychodzi po nie z tém, co jedynie w życiu ukochał, z trzosem złota. Dla ideału więc swego czyni ofiarę z tego co ma najdroższego—ze złota. Ale na giełdzie życia nie zawsze ma złoto ten sam kurs, co na giełdzie kupieckiej. Trzeba je przetworzyć na inną szlachetniejszą monetę. Kupuje okazałe apartamenta, ubiera je drzewem zagranicznym i tkaniną jedwabną. Na ścianach rozwiesza dzieła sztuki a podłogi nakrywa perskimi dywanami!... W książce je-



dnak bankierskiej redukują się te wszystkie piękne rzeczy— do cyfry. Stoi tam poprostu zapisano: Miłość moja... tyle a tyle!

Przy tych i tym podobnych porównaniach przyszło mi na myśl, w jaki to sposób objawia Cezaryusz miłość dla mnie? Czém jestem dla niego i czém będę na całe życie?

Pytania te nachodziły mnie zawsze, gdy siedząc sama w moim pokoiku patrzałam na mnóstwo fraszek różnorodnych, któremi prawie codziennie obsypywał mnie Cezaryusz. Fraszki te nadzwyczaj kosztowne, a niektóre nawet prawdziwe dzieła sztuki, miały mi na te zapytania moje odpowiedzieć.

I cóż mi one odpowiedziały?

Oto że Cezaryusz jest zwykłym, zamożnym człowiekiem, który miłość swoją objawia mi znaczniejszym wydatkiem pieniędzy! Fraszkami temi okazuje, co mi dać może, gdy będę jego żoną!

Zaiste, taką miłością zadawalnia się wiele, bardzo wiele kobiet! Ogół nawet mniema: że taka kobieta jest bardzo szczęśliwa. Ale szczęście podobne ma swoje bardzo niebezpieczne skopy!...

Zdaje się, że na nieszczęście moje nie byłam stworzoną, abym podobną miłością zadawałać się mogła!

Miłość taka nie była żadną ofiarą ze strony Cezaryusza. On nie pracował dla mnie, nie dzielił się owocem własnej pracy zemną. Przypadek pozwolił mu urodzić się bogatym. Majątek jego z końcem każdego roku odrzucał mu zwykły procent, który wolno mu było użyć jak mu się podoba. Nie miał w tém żadnej zasługi. Nie kochał nawet tak jak bankier, pieniędzy, a więc z większą od niego obojętnością mógł czynić tę ofiarę. Jakiż więc dowód jego miłości mogłam widzieć w tych drogich fraszkach, któremi mnie obsypywał?

Do skarbony zawieszonéj w świątyni rzucił ongi bogacz pieniądz złoty; po nim nadeszła biedna wdowa i rzuciła grosz; któż z nich dał więcej?... Chciałam, aby Cezaryusz dał mi tyle, ile dała biedna wdowa!... Ale Cezaryusz nie mi dać nie mógł, bo nic nie miał: to co mi dawał, nie było jego!...



Cezaryusz był w moich oczach uboższym od owęj wdowy ewangelicznój; potrzeba więc było, aby się czegoś dorobił, i tym dorobkiem swoim ze mną mógł się podzielić!

## XIX.

Razu jednego przy pięknej lipcowej pogodzie przechadzaliśmy się w alei ogrodu. Po niebie przesunęły się białe chmurki. Lekki orzeźwiający wietrzyk pociągał od wschodu i ochładzał skwarne powietrze. Z kwiecistych klombów załatywała woń świeża.

Był to jeden z tych prześlicznych dni naszego kraju, jakich niestety nie wiele zsyła nam niebo. W takich dniach żyjemy pełnią życia, pełną piersią wciągamy w siebie wonne powietrze. Myśl nasza wymyka się wtedy z ciasnych granic naszego powszedniego świadka i goni jakieś dziwne, nadziemskie rojenia. Wszystkie czary, jakie przed nami roztacza natura, rozpalają wyobraźnię naszą i przenosimy się w duszy po nad tę rozkoszną rzeczywistość w krainę marzeń jaskrawszych, rozkoszniejszych od widzianej rzeczywistości!...

Zatrzymałam się chwilę przed grządką prześlicznych kwiatów. Cezaryusz sądził, że podziwiam te kwiaty.

— Barwa tych kwiatów przykuwa mimowolnie oko do siebie—rzekł po chwili, patrząc na mnie.

Słowa jego słyszałam, ale nie dałam mu na nie zaraz odpowiedzi.

— Które się pani lepiej podobały—zapytał znowu—czy te o niebieskich, czy o czerwonych listkach?

— Nie widzę ani niebieskich, ani czerwonych kwiatów!—odpowiedziałam z westchnieniem.

— Wszak pani na nie patrzysz!

— Tak, niby na nie patrzyłam, ale ich w téj chwili nie widziałam! Przeszłam tylko po nich do innych, szczęśliwszych, w urok daleko bogatszych krajów!... Wyobrażałam sobie, jak pysznój barwy i okazałości są kwiaty pod słońcem tropikowym!...

— Czy lubisz pani kwiaty egzotyczne?

— Chciałabym je w téj chwili porównać! Gdy ich nie widzę, nęca one moją myśl do siebie! Być może, że

obaczywszy je, możebym nie wyrządziła swojskim téj krzywdy, jaką w téj chwili odemnie ponoszą!

— To przecież stać się może, jeżeli tego pani pragnie.

— Ale czas, panie Cezaryuszu—odpowiedziałam z uśmiechem—czas gra tu ważną rolę. Wiem, że kwiaty egzotyczne mieć i widzieć mogę, ale nie tak prędko, abym je z tym hiacyntem i temi olbrzymiemi bratkami porównać mogła, gdy rozwinęły w całej pełni wszystkie wdzięki swoje! Kwiatki nasze żyją tak krótko życiem najwyższém!...

Słowa te wymówiłam bez żadnej myśli ubocznej. Rzucałam je od niechcienia, jak się rzuca na wiatr tyle myśli ulotnych! Za chwilę prawie zapomniałam o nich. Przeszliśmy na inne przedmioty, a wkrótce odwołano mnie do zajęć gospodarskich.

Było to przed obiadem. Po obiedzie czytaliśmy dzienniki a potem kilka godzin spędziliśmy na przechadzce w lesie; wreszcie zniżyło się słońce, ucichło ptastwo śpiewające i skryło się po gałęziach na nocleg.

Kazałam podać herbatę. Ojciec mówił wiele o ulubionych swoich koniunkturach europejskich. Cezaryusz dorzucał od czasu do czasu kilka słów ze swojej strony. Upragniona budowa wzrastała szybko przed ich oczami. Twarz ojca rozjaśniała się coraz więcej. Rzucał na tę budowę śmiałe sklepienia, stroił ją w najulubieńsze swoje ornamenta.

Cezaryusz nie dotrzymywał ojcu kroku. Śród najśmielszych kombinacji pozostawał często obojętnym lub okazywał niepokój, którego źródło było poza rozmową. Często wyjmował zegarek i patrzył na godziny z czołem zmarszczoném.

Nie uszło to mojej uwagi; nie chciałam jednak tego tłumaczyć sobie na niekorzyść Cezaryusza. Są często w życiu chwile znużenia, że najciekawsza, zwykle elektryzująca nas rozmowa; nie wywiera na nasz umysł żadnego podrażnienia. Być może że Cezaryusz był właśnie w takiej chwili, w której ani moja obecność, ani rozmowa ojca nie mogły się jego ożywić.

Wreszcie wstawszy od herbaty zaczął się niespokojnie po pokoju przechadzać. Często przybliżał się do okna, jakby przez nie patrzył w noc ciemną, lub różnym nocnym głosem natury chciał się przysłuchiwać.



Ojciec mój miał nazajutrz wstać bardzo rano do robót w polu; wypaliwszy więc lulkę rzekł do Cezaryusza:

— Dzień dzisiejszy był gorący i znużył nas wszystkich. Nie zgrzeszymy, jeżeli wcześniiej udamy się na spoczynek; pan i tak w oficynach nie masz rano spokoju.

Dorzuciłam jeszcze kilka słów z mojej strony. Cezaryusz nie upierał się wcale. Milczeniem przyjął propozycję ojca. Pożegnaliśmy się wszyscy, życząc sobie wzajemnie dobrzej nocy i snów przyjemnych.

I nie wiem, czy wszystkim sprawdziły się te życzenia. Nie wiem o czém śnił Cezaryusz, i czy ojciec we śnie dalej kontynuował swoje konjunktury wypadków politycznych na drugiej półkuli świata; wiem tylko, że sen mój był mimo mej woli, jakąś dziwną kontynuacją kilku słów, rzuconych we dnie od niechcenia, bez żadnej głębszej myśli!

Śniło mi się, że byłam pod słońcem równikowém. Pyszna, nie widziana dotąd wegetacya otacza mnie. Rośliny miały kształty niezwykle, jakich nawet wyobrażenia krajów północnych utworzyć sobie nie może. Wszystko było olbrzymie i świadczyło o potędze słońca i powietrza. Woń narkotyczna, dotąd nie znana buchała od tych lilii i kwiatów, i drażniła mi piersi jakimś uczuciem rokoszném.

Kiedy jednak po tych szerokich liściach stąpać chciałam, natrafiłam na śliskie ciało jakiegoś gadu i z trwogą cofnęłam nogę. Na konarach palm i bananów wychylały się do mnie dzikie, brzydkie zwierzęta i szczyrzyły zęby. Tam gdzieś w oddali skrzekotał grzechotnik, a skrzekot jego był hasłem ucieczki dla wszystkich słabszych od niego. Samo powietrze było napełnione miliardami muszek niewidzialnych i tamowało mi oddech w piersiach...

Obudziłam się znużona i omdlała. Przez okno widziałam skromne kwiateczki naszego umiarkowanego nieba. Powietrze poranne było chłodne i zaprawione znaną mi wonią rezedy i hijacyntów.

Służąca moja weszła do mnie z jakimś tajemniczym uśmiechem na twarzy. Zapytałam ją o ten uśmiech, ale nie mi na to nie odpowiedziała godnego uwagi. Zająłam się ubieraniem i wydałam potrzebne, gospodarskie rozkazy.

Ile razy jednak spojrzałam na służącą, spotykałam zawsze ten sam tajemniczy uśmiech, którego dobrze ukryć nie



umiała. Nie lubiłam okazywać się w obec sług nader ciekawą. Wiedziałam, że prędzej czy później, ciekawość moja zaspokojoną być musi.

Za godzinę wyszłam do saloniku. Teraz była dla mnie jasną owa zagadka tajemniczego uśmiechu.

Na okrągłym stoliku stał olbrzymi bukiet złożony z samych kwiatów egzotycznych!

Służąca wychyliła głowę z poza drzwi i roziskrzoném od radości okiem patrzyła na mnie.

— Co to jest?—zapytałam oglądając kwiaty.

— To pan Cezaryusz kazał mi postawić i wprzód nie pannie Reginie o tém nie mówić—odpowiedziała służąca i odetchnęła głęboko, jakby ciężki kamień zrzuciła z piersi. Tajemnica ta ciążyła jej dotąd niepospolicie.

Przypomniałam sobie słowa moje o kwiatach egzotycznych, rzuconych wczoraj na wiatr bez żadnej myśli i rozśmiałam się dosyć obojętnie. Służąca nie spuściła ze mnie oczu. Na jej twarzy malowała się radość z mego szczęścia.

— Czemuż tak patrzysz na mnie?—zapytałam.

— Ach, bo panna Regina jest taka szczęśliwa!—odpowiedziała z westchnieniem.

— Jestem szczęśliwa?... A zkadże wiesz, że jestem szczęśliwa?

— Albo tego nie widać jak na dłoni? Ach, gdyby panna wiedziała, co te kwiaty kosztują!

— W samą rzecz, kwiaty te kosztują wiele! Nie należą one do naszej ziemi i tylko wielkim kosztem i trudem mogą być u nas pielęgnowane. Jeżeli się nie mylę, pochodzą one z cieplarni, która najmniej ośm mil oddaloną jest od nas!

— Zgadła panna! Ale to wszystko nie dość. I dwieście złotych, które Pawełek dał ogrodnikowi, to jeszcze nie dość...

— Zapewne że niedość, bo droga i trud.

— Ej co tam trud i droga! Pawełek wprawdzie leży pod dwoma derkami i robi piersią jak koń podpalony, ale to nic; przejdzie i kwita. A jak nie przejdzie, to zamiast Pawełka będzie Piotruś!

Przy tych słowach zdawało mi się, że tak samo jak we śnie, nastąpiłam na obślizłe ciało jadowitej, żmii! Uczułam

ból jakby ten jaś w samo serce mnie uderzył!... I pomyślałam sobie:

— Mój Boże! Ileżto kobiet nazywa to szczęściem, co wychodzi przed ich oczy oblane łzami, okupione zdrowiem a nawet i życiem tych, co za kęs powszedniego chleba składali się na to dziwne szczęście!...

Odwrociłam oczy od tych kwiatów egzotycznych, a serce moje zadrgnęło dojmującą boleścią!

I toż ma być dowód miłości? — rzekłam w duchu do siebie, zaiste, ludzie bogaci dziwnie okupują szczęście swoje!

Z pewną pogardą odsunęłam kwiaty od siebie. Służąca nie rozumiała mnie. Mówiła dalej:

— Ach! to jest prawdziwe kochanie! Pan Cezaryusz zdjąłby gwiazdę z nieba, gdyby panna tego chciała! Bo też niedość że Pawełek pod dwoma derkami leży i jak mysz się poci, ale biedny Neptun...

— Neptun, cóż Neptunowi? — zapytałam zgryźliwie, — czy nogę złamał?

Neptun był to ulubiony wierzchowiec Cezaryusza. Nabył go przed kilkoma tygodniami ze znanej w kraju stadniny hrabiego Juliusza. Masztalerz przywiózł Cezaryuszowi dyplom jego pochodzenia, w którym z największą skrupulatnością wyliczane były wszystkie jego antenaty po mieczu i po kądzieli. Maść miał podobną do wody w jesieni i dla tego zapewne otrzymał nazwisko Neptun. Cezaryusz wyliczył za niego trzysta dukatów.

Dla mnie, po biednym Pawełku, nie wiele komiseracyi zostało się Neptunowi.

— Cóż więc się stało Neptunowi — powtórzyłam zapytanie.

— Ach! Neptunowi to się stało — odpowiedziała służąca że nie potrzeba go już tak jak Pawełka, derką nakrywać. Nakryli go ziemią!

— Więc biedny Neptun padł już?

— Padł, jeszcze przed świtem!

Odprawiłam służącą, która mi szczęścia swego zazdrościła. Szybkimi krokami przeszłam się kilka razy po pokoju.

Zaprawdę, Cezaryusz kochał mnie! O tém cała okolica wątpić nie będzie! Szalona jazda po kwiaty egzotyczne, przypadek Pawełka i Neptuna rozniesie się po całej okolicy! Są-



siedzi i sąsiadki zazdrościć mi będą tego szczęścia, téj exazerowanej, romantycznej miłości. Cezaryusz dla mego kaprysu poświęcił ulubionego i kosztownego swego wierzchowca i przywiązane Pawełka! Na rozkaz pana prędkiej od orła przebiegli obaj przestrzeń ośmiomilową! Jakaż to miłość! Cóż to za mąż będzie z niego, który teraz takim kaprysom swojej narzeczonej dogadzał... Szczęśliwa Regina, nie zasłużenie szczęśliwa! Zapewnie oczarowała czém tego człowieka, że z miłości sam nie wie, co czynił...

Takie i tym podobne głosy słyszałam w duchu wkoło siebie. Koncept Cezaryusza był wprawdzie nader romantyczny, tylko szkoda, że inni wykonali go, a on tymczasem spał sobie jak najspokojniej!...

Zarzuciłam szal na ramiona i wyszłam na dziedziniec. Na dziedzińcu koło klombu stał Cezaryusz i swobodnie bawił się z moją ulubioną charcicą. Ujrzał mnie i wraz z charcicą chciał zbliżyć się do mnie. Skinęłam do niego głową na dzień dobry i zawróciłam drugą stronę klombu, zostawiając go na boku.

Poszłam odwiedzić Pawełka.

## XX.

Cały ranek zeszedł mi na krzątaniu się koło biednego Pawełka. Miał kolki w piersiach i oddech nadzwyczaj trudny. Kazałam mu ugotować ziół ochładzających a na wypadek pogorszającej się słabości trzymać konie w pogotowiu, któreby lekarza przywozły; prócz tego miał stajenny czuwać nad nim i przynieść do mnie każde jego życzenie.

Cezaryusz zbliżał się do mnie kilka razy. Zdaje się, że czekał, kiedy o bukicie kwiatów exotycznych mówić zacznę. Nie wspomniałam o nim ani słowa, tak, jakbym o niczem nie wiedziała! W oczach Cezaryusza malowało się zdziwienie. On tyle dla mnie poświęcił, taki dał mi dowód swojej miłości, może radby szeroko rozmawiać o trudnościach, jakie téj myśli genialnej stały na przeszkodzie, a które w rezultacie szczęśliwie pokonane zostały!...

Na tyle rozkosznych nadziei byłam okrutną. O kwiatkach exotycznych nie powiedziałam ani słowa. Nie pytałam



się, zkąd one wzięły się na stoliku, jaką drogą i jakim kosztem przyszły do mnie! Nie zapytałam o Neptuna, ani nie byłam ciekawą, co było powodem słabości Pawelka. Wi-działam tylko przed sobą chorego, a nie więcej.

Cezaryusz dziwnie patrzył na mnie. Nie mógł zrozumieć mojej roli. Jakto? żeby kobieta obojętną być mogła na tyle ofiar, które poniesiono dla dogodzenia jej zachceniu! Nie, to niepodobna! Chyba że nie jest kobietą!...

Takie myśli czytałam na jego czole. Nic jednak nie mówiłam, choć mi same słowa wydierały się na usta. Cezaryusz także nic nie mówił. Wiedział dobrze, że inicjatywa z jego strony odbierze temu egzotycznemu podarunkowi wiele uroku!

W południe wmieszała się między nas trzecia osoba. Przyjechała Ewunia. Dowiedziała się już o wszystkim.

Byliśmy właśnie w ogrodzie, gdy nagle przed nami stanęła Ewunia. Jej oczy błyszczały radością. Rzekła zaraz na wstępie:

— Winszuję, ale oraz zazdroszczę ci Renio takiego narzeczonego, jak pan Cezaryusz! Wierzaj mi, nie zdarza to się teraz nic podobnego w świecie! Dzisiejsza miłość należy do wygod życia. Co ponad te wygody wychodzi, tego nie żądaj od mężczyzny!... Ale pan Cezaryusz!... Ta jazda szalona, te kwiaty egzotyczne, te ofiary i przygody, to jakby kartka wycięta z średniowiecznego, rycerskiego romansu! Dziś nawet tak nie piszą! To nie prawdziwa, szalona miłość! Przecież znalazłaś, o czém marzyłaś pomiędzy książkami twemi, w ciemnej atmosferze biblioteczki.

Ewuni nic na to nie odpowiedziałam. Nie chciałam odpowiedzieć krótko, a na długą odpowiedź nie było ani czasu ani miejsca. Spojrzałam tylko na Cezaryusza, aby wyczytać, czy słowa Ewuni wypowiadają własne jego przekonanie. Cezaryusz milczał a na twarzy jego widać było tę samą ciekawość, aby coś w mojej duszy wyczytać.

— Pan milczysz na to wszystko!—rzekłam po chwili.

— Tak, milczy—odparła żywo Ewunia—bo tak rycearzowi milczeć przystało, gdy po odbytych turniejach chylił czoło przed królową serca swego... Pan Cezary dał ci wiele, bardzo wiele i czeka jaka podzięką, jaki odwet za ten dar będzie...

I na to nie nie odpowiedziałam; spojrzałam tylko przed siebie i zamyśliłam się na chwilę.

Wzrok mój padł przypadkowo na duży krzak agrestu. Z pod krzaku wymykał się wielki powój i nadzwyczaj zręcznie owijał się koło jego ciernistych gałązek. Mnóstwo miał kwiatków blado niebieskich, ale te po większej części były już zwiędłe. Jednym zaszkodziły gorące promienie słońca, z drugich wyssały pszczołki słodycz i pokarm ich życia; jeden tylko kwiatuszek ostał się w całej barwie. Skrył on się pomiędzy cierniste gałązki tak zręcznie, że go ani pszczoła ani słońce dosięgnąć nie mogły!

Na ten błękitny, cieniami otoczony kwiatuszek padł mój wzrok.

— Panie Cezaryuszu,—rzekłam po chwili namysłu,—zerwij mi pan ten kwiatuszek ze środka krzaku.

Cezaryusz pobiegł szybko do krzaku. Rozkaz mój nie był tak łatwy do wykonania; agrestowy bowiem krzak był to staruszek nielada. Miał twarde gałązki i duże ciernie: potrzeba było zręcznie przebijać się do kwiatka powoju.

Cezaryusz pokonał wprawdzie wszelkie trudności, ale nie wyszedł z téj pracy bez szwanku. Cierń jakiś niepoczciwy zadrasnął mu rękę. Z uśmiechem jednak zwycięzcy zbliżył się do mnie i podał mi upragniony kwiatuszek.

— Dziękuję panu,—rzekłam biorąc kwiatek—dziękuję za ten drobny powój! Spodziewam się, że pan to samo uczynisz, jeżeli większych rzeczy i większego trudu zażądam.

I mały kwiatuszek przypięłam na piersi.

## XXI.

Potém wpadła Ewunia na ulubiony swój temat rozmowy, na wyprawę. Zdaje się, że mojej myśli o kwiatuszku powoju wcale nie zrozumiała. Nie wiem nawet, czy Cezaryusz zrozumiał w téj chwili, com mu przez to powiedzieć chciała. Na żądanie Ewuni wróciliśmy wszyscy do domu.

Tutaj musiałam wszystko okazywać Ewuni, co tylko z wyprawą moją miało jakąkolwiek styczność. Ewunia brała wszystko do ręki i oglądała na wszystkie strony. Czyniła to z takim zajęciem, jakby nad to, co widzi, nic innego na



świecie nie było. Mówiła o każdej drobnostce, o każdym fałdziku, o każdym rąbku. A mówiła z taką powagą, z taką sumiennością roztrząsała każdą sporną między nami kwestyę, jakby od tego całe szczęście moje zawisło. Szczęśliwa Ewunia! Ona wżyła się już w tę drobnostkowość życia, bo ta drobnostkowość wypełniała całą próżnię jęj serca!...

— Wiesz, droga, — szczebiotała, sympatycznym swym głosikiem, ten negliżyk wcale mi się nie podoba. Ten jest za mało wycięty, a ten za wiele namarszczony. Masz biust przesliczny, czemuż zgrabném ubraniem nie podnieść tak miłych wdzięków? I dla męża potrzeba nieco kokieteryi niewinnój.... a ten stanik powinien mieć te dwa kliny na dół puszczone!... Haft ten za mało przezroczysty, nic nie odsłania, a bardzo wiele okrywa. Sądzę że w palny wydałby się daleko lepiej.

Naszczebiotawszy się do syta, ucałowała mnie namiętnie i skoczyła do dorożki, aby jak białe widmo zniknąć nam z przed oczu. Jeszcze raz ujrzelśmy ją na wzgórzu za polami: wionęła ku nam białą chustką.

Pocziwa Ewunia miała dobre przecucie. Zaraz po jęj odejździe wysunęły się z poza gór czarne chmury, a powietrzę oziębiło się nagle jak w późnej jesieni. Chmury wznosiły się co raz wyżej na niebo, a nim wieczór nastał, już nie było ani kawałka błękitu. W dużych zimnych kropłach puścił się deszcz rześisty, a wszystek drób' domowy szukał schronienia pod dachem.

Przy herbacie zeszliśmy się wszyscy. Ojciec wrócił dosyć późno i przemókł do nitki. Przebrawszy się usiadł do stołu i chwycił zaraz za pakiet gazet, które właśnie co tylko przyniósł posłaniec z poczty. O bukicie kwiatów exotycznych, o biednym Pawetku i o Neptunie nikt ani słówkiem nie wspomniął. Zdaje się że ojciec był tęp samęj co i ja myśli i nie chciał trącać o przedmiot, który był dosyć drażliwy. Cezaryusz także nic przy herbacie o tęp nie wspomniął. Być może, że z ojcem mówili już we dnie o tym wypadku.

Jakaś duszna atmosfera ciążyła nad nami. Wszyscy byliśmy zamyśleni. Rozmowa urywała się często, i trudno nam było ją nawiązać w ciągłe, nieprzerwane pasmo. Za oknami brzęczał deszcz o szyby i huczał wiatr w konarach topoli.



— Wilgotne, przejmujące zimno,—ozwał się ojciec. Przemokłem cały i jeszcze do siebie przyjść nie mogę. Niech Stefan w niebieskim pokoju rozpali ogień na kominku. Osusz się nieco powietrze. Przejdziemy tam po herbacie.

Za pół godziny byliśmy już w niebieskim pokoju. Wesoły ogień pryskał na kominku. Ojciec siadł przy kominku i zaczął czytać dzienniki.

Siadłam przy fortepianie. Cezaryusz przysunął do mnie krzesło i prosił abym co zagrała.

Puściłam palce po klawiszach i dałam im zupełną swobodę. Przebiegały one najrozmaitsze akordy, wygłaszały jakąś dziwną improwizację, której bynajmniej sobie nie układałam. Myśl moja była gdzieś daleko, i goniła różne zapyłone wspomnienia. Myślałam o matce, o Ewuni, o moich książkach i o sarneczce!

I nie wiem jak się to stało, że fantastyczna moja improwizacja zaczęła zwolna wiązać się w jakąś melodię znaną.... za kilka chwil spostrzegłam, że gram—modlitwę Mojżesza.

Urwałam nagle grę i spojrzałam wkoło siebie. Przy mnie siedział Cezaryusz, przy kominku czytał ojciec gazetę.

Nie umiem z tego zdać sprawy, co teraz ze mną się stało. Zadrżały we mnie wszystkie fibry, wszystkie pulsy uderzyły gwałtownie. Wezbrane serce biło głośno, a dreszcz dziwny dotąd nie znany przebiegał pierś moją....

Przyszedł mi na myśl pan Andrzej!...

I rzeczywiście, dziwnym zbiegiem okoliczności wywołane zostało to wspomnienie. Cały obraz, ze zmianą tylko jednej osoby był ten sam, co wtedy. Ojciec czytał jak wtedy przy kominku, w tem samym miejscu, gdzie wtedy siedział przy mnie pan Andrzej, był Cezaryusz, na kominku palił się ogień, a ja grałam modlitwę Mojżesza!

Dziwne podobieństwo!... Ale czemuż to zatarte już prawie wspomnienie wywołało tak gwałtowne wstrząśnienie w całym moim organizmie? Czyż sama myśl, samo wspomnienie może tak silnie uderzyć o nerwy? Czemże był dla mnie ten człowiek, którego przelotnie tylko widziałam, a który był dla mnie tyle obojętnym!... Czyż wyobraźnia nasza jest silniejszą od rzeczywistości? Czyż miłość moja dla Cezaryusza była mniej silna od tego przypadkowego, ulotnego wspomnienia?...

Takie myśli przebiegły mi błyskawicą przez głowę. Westchnęłam po chwili i pożegnałam uroczne wspomnienie, które może dla tego miało tyle siły i uroku, że było niczém inném jak tylko wspomnieniem!... Wprawdzie do tego wspomnienia wiązała się potargana nie moich marzeń tajemnych, ale takich marzeń jest podostatkiem w duszy kobiety, o jakich świat nigdy nie wiedział i nigdy się nie dowie!...

Po chwili uspokoiłam się, ale modlitwy Mojżesza już dalej nie grałam.

Cezaryusz mówił coś o grze urwanój, o deszczu i o wietrze niegodziwym, który łamał suche gałęzie topoli. Wreszcie padł jego wzrok na stolik okrągły, na którym stały w dzień owe nieszczęsne kwiaty egzotyczne. W téj chwili leżał ten pyszny i tak kosztowny bukiet porzucony na krawędzi stołu, a na jego miejscu włożony do świeżej wody uśmiechał się, mały kwiatusek powoju!...

Cezaryusz długi czas z niemalem zdziwieniem patrzył na te pośmiewisko egzotycznego daru, w obec wyniesionego do tak niesłychanej godności plebejusza! Patrzył i uśmiechał się z dziwną ironią.

— Podziwiasz pan ten skromny kwiateczek, królujący na tym wyzłacanym tronie!—zapytałam po chwili.

— Studjuje społeczne zasady pani—odparł Cezaryusz nieco zgryźliwie.

— Do jakiegoż stronnictwa pan mnie zaliczasz?

— Zdaje mi się, że przychyłasz się pani na stronę demagogów!

— Demagogów?

— Podły, prosty kwiateczek wyniosłaś pani do zaszczytów, a potomków królów i książąt, sproszonych tutaj tak znaczną, chociaż przypadkową ofiarą pozbawiasz pani bożej wody, aby zwiedniały i uschły!... Czy wiesz pani jak się nazywają ci arystokratyczni reprezentanci flory?... Ten olbrzymi biały kwiat to prince Albert...

— Przeprós pan tych dygnitarzy —przerwałam z uśmiechem—bo nie mam czasu mówić z niemi. Powiedz im pan, że mnie nie ma w domu!

Rozśmiałam się i spojrzałam w oczy Cezaryusza. Na twarzy jego było dziwne zakłopotanie. Patrzył na mnie jak

człowiek, który nic nie słyszy, albo nie rozumie. Nie mógł pojąć do czego mój żart zmierza.

— Słowa pani są dla mnie dzisiaj zagadkowe,—ozwał się smutno —a dzień dzisiejszy do feralnych policzyć trzeba. Przedewszystkiem nie marzyłem o tém, aby te kwiaty egzotyczne spotkał taki los okrutny!

Wzięłam za rękę Cezaryusza i rzekłam do niego z popałością przyjaciółki:

— Wierzej mi pan, ten oto lichy kwiateczek ma dla mnie więcej wartości niżeli wszyscy dygnitarze flory! Dla tego do wieczora był on na piersi mojej, a teraz krzepi siły swoje na tym tronie złoconym!

— Jakto?—zawołał Cezaryusz z najwyższém zdziwieniem—ten lichy kwiatek tak pani przypadł do gustu?...

— Tak jest — odpowiedziałam z naciskiem — on jest z nich najdroższym, *boś go pan własną ręką z pomiędzy cierni wydobyl, a za tamte tylkoś zapłacił!*

Cezaryusz patrzył ciągle na mnie i milczał. Nie mógł jeszcze dobrze pojąć tego, com powiedziała; chciał wyczytać na mojej twarzy, czego nie rozumiał.

— Chciéj mi pani wyjaśnić te zagadkowe słowa —ozwał się po długiem milczeniu.

— I owszem,—odparłam z przyjaznym uśmiechem—już dawno zbierałam się mówić z panem o niektórych moich mrzonkach i przesądach, jak Ewunia pazywa, a chce mówić dla tego, abys mnie pan znał jaką jestem! Niema nic smutniejszego w miłości nad niespodziankę, jaką nam czasem sprawia narzeczona. Nieprawdaż?...

— Przyznaję, że cały dzisiejszy dzień jest dla mnie nadzwyczajną niespodzianką!

— Cieszy mnie to niezmiernie, żeś pan to spostrzegł.

— Lękam się pytać o przyczynę!... Czasami lepsza jest niepewność, pomimo że jest nadzwyczaj dręcząca!...

— Cóżby to mogła być za pewność, któraby dla pana była okropniejszą od dręczącej niepewności?

— Chciéj pani sama sobie na to odpowiedzieć.

Spojrzałam z uśmiechem na Cezaryusza. Na twarzy jego przebijał się smutek. Nie był to w téj chwili ów wściekle uśmiechnięty, z wyszukaną grzecznością nadskakujący



dworzanin, ale zwykły, naturalny człowiek, głęboko w duszy cierpiący. Chwycił mnie w tej chwili za serce, a nawet nie-co rozbroił. Takiego naturalnie czującego człowieka chciałam w nim częściej widzieć. Ów wiecznie światowemi formkami poruszający się automat, już mnie do syta unudził. Może być, że są kobiety, którym taki automat na całe życie wystarcza. Do takich kobiet, mimo całej mojej usilności i mimo wszelkiej pracy Ewuni należeć nie mogłam!

Wzięłam Cezaryusza z całą serdecznością za rękę i rzekłam:

— To co dla pana w dniu dzisiejszym jest zagadką, zaraz panu wyjaśnię; pozwól mi pan tylko chwilki cierpliwości.

Cezaryusz spojrzał na mnie z niezwykłym wyrazem w oczach. Malowało się w nich uczucie głębsze, niżeli dotąd kiedykolwiek spostrzedz mogłam. Twarz jego spoważniała, a na otwartém czole zarysował się fałdzik głębszych myśli.

Było mu z tém bardzo od twarzy. Nie krasił go wprawdzie połysny blichtr dowcipu lub pokątnego sarkazmu, w jaki dzisiaj tak często stroimy się w salonach. Nie miał nawet tej swobody i pogody, która pozwala władzom umysłowym koncentrować się gdzie potrzeba, nadając nam tym sposobem przewagę w towarzystwie nad innymi. Miał jednak w całej swjej postaci coś tak pięknego, tak ujmującego, że dłużej niżeli powinienam, patrzałam na niego w milczeniu.

Przyznam się, że doznałam w tej chwili wzruszenia, które mi zapowiadało, że mogę tego człowieka pokochać moją wymarzoną miłością... bo widziałam oczyma i sercem, że on mnie kocha, i że w takim razie nie będzie dla mnie nic niepodobnego!

— Nie mogę być dla pana nieszczerą i zamkniętą — rzekłam po chwili — i muszę przed panem wypowiedzieć się z dotychczasowych marzeń moich... Przyznasz pan, że kobieta nie czeka miłości i narzeczonego bez żadnych poprzednich marzeń. Dusza jej, nie jest to biała karta niezapisanego papieru, na którym dopiero narieczony według upodobania pierwsze litery stawia. W życiu powszedniem może tak jest w istocie. Może są kobiety, których dusza jak szkolna tablica może być na czysto zmazana, aby nowy rachunek

mógł na niej zająć miejsce. A jeśli to zmazaném być nie może, to się przynajmniej udaje, że jest zmazane. Do takich kobiet, kobiet niestety policzyć się nie mogę. Najprzód nie mam nic, coby zmazaném być powinno, a to co jest, zdaje mi się powinno się, na całe życie ostać! Do takich zaś, których dusza ocknie się dopiero na widok ślubnego pierścionka, aby potem znowu zasnąć, nie należałam nigdy!..

Z żywém uczuciem ścisnął mnie Cezaryusz za rękę a twarz jego zaczęła się wyjaśniać. Mówiłam dalej:

— Otóż każda kobieta od lat najmłodszych marzy o swojej przyszłości. Stwarza sobie ludzi i sytuacje i czeka, kiedy marzenia jęj przejdą w rzeczywistość. Rozumie się, że zbyt często nie odpowiada napotkana rzeczywistość jęj marzeniom. Wtedy albo zawiera z nią kompromis, albo ją od siebie odpycha. Często jednak składa jęj w ofierze wszystkie swoje marzenia....

— Do tych ostatnich przecież nie zechcesz pani należeć! — przerwał mi Cezaryusz z lekkim uśmiechem.

— Zależć to będzie od pana! — odpowiedziałam z całą powagą.

Cezaryusz zamyślił się. Mówiłam dalej:

— Marzenia moje, w wyjątkowém mojem położeniu były może nieco odmienne od marzeń innych kobiet. Utraciłam wczesnie matkę i zostałam w życiu bez takiego przewodnika, jakim tylko matka być może. Nawet za życia jęj wstąpiłam już na inną drogę. Dziecinne lata moje przesiedziałam koło jęj łóżka. Wesołych dni młodości nie znałam wcale. Zbyt wczesnie odsłoniło mi się życie ze strony poważniejszej. Serce moje żyło tylko miłością i obowiązka-  
mi dla choręj matki. Po jęj śmierci chciało moje serce żyć dalej tém wdrożoném uczuciem. Matki już nie miałam, a książki, które mi nieboszka matka za opiekunów zostawiła, powiedziały mi, że mam drugą chorą matkę, mam ludzkość, społeczeństwo, które również mego serca i moich obowiązków względem siebie potrzebują!.... W smutném życiu mojem wyrosła ta myśl, spotężniało to uczucie i dzisiaj od duszy oderwać ich nie mogę!

Umilkłam na chwilę i spjrzałam na Cezaryusza. Parzał zamyślony przed siebie. Na twarzy jego przebiegały

różne promyki światła, jak drogoskazy piękniejszych i wznioślejszych myśli. Tak pięknym nie widziałam go dotąd!

— Z tego pan widzisz—rzekłam do niego z uśmiechem—że potrzeba ze mną udać się w kompromis!

— Nie—odparł żywo Cezaryusz z rozjaśnioną twarzą—ja nie chcę żadnych ustępstw! Przyjmuję wszystkie warunki!

— Przyjmujesz pan wszystkie warunki?—zapytałam nachylając się ku niemu—przyjmujesz pan je nie wiedząc o ich doniosłości! Potrzeba moje warunki albo bardzo lekceważyć, albo bardzo...

— Bardzo kochać!—dodał żywo Cezaryusz i namiętnie ucałował moją rękę.

Ścisnęłam go serdecznie za rękę, bo mi serce moje w téj chwili tak uczynić kazało. Zdawało mi się, że coraz bliżej jestem marzeń moich!...

— I jakież warunki podajesz pani?—zapytał po chwili Cezaryusz z ożywioną twarzą.

— Warunki moje — odpowiedziałam — przechodząc w ton żartobliwy, są nadto trudne...

— Gdyby tylko nie takie, jakie dano owemu patryarsze który przy studni ujrzał piękną bogdankę!

— O tych warunkach tym razem nic nie mówię. Innym razem wrocimy do nich.

— Więc słucham z uwagą!

— Od lat wielu wymarzyłam sobie człowieka, obok którego mogłabym przejść całe życie. Nie przypominam sobie czy to był blondyn, szatyn czy brunet. Nie wiem nawet jakie miał oczy i jak się ubierał. Zapomniałam także czy miał angielskie faworyty, czy hiszpańską bródkę. W marzeniach moich nie widziałam go nigdy siedzącego na koźle angielskiego karykła i trzymającego z szykiem wodze w rękę. Słowem, nie wiem nawet, czy był piękny jak Apollon, czy brzydki jak Wolter...

— Jakżeś go przecież pani sobie wyobrażała?

— Wyobrażałam go sobie jako nadzwyczaj poczciwego i rozumnego człowieka. Nie był dumny z tego, co mu się przypadkiem dostało przez urodzenie lub sukcesą po stryjaszku. Był tego przekonania, że wszyscy ludzie przechodzą na świat bez żadnych przywilejów. Wszyscy muszą



przez cały ciąg życia pracować stosownie do warunków, w jakich się urodzili. Kto przy urodzeniu wziął więcej, musi więcej dać społeczeństwu, którego jest członkiem. Próżnować nie wolno nikomu, choćby miał zasoby na sto pokoleń! Słowem, człowiek mój wymarzony musiał się własną pracą w swoim społeczeństwie czegoś dorobić i tym dorobkiem ze mną się podzielić! Inne dary, które go ani pracy ani usiłowań przynajmniej nie kosztowały, a za które tylko nie swymi zapłacił pieniędzmi, były mi zawsze wstrętne! Mówię *nie swymi*, bo odziedziczonych tytułów i majątków nie zaliczam do zarobionych!... Marzyłam, że mój przyszły ideał zdobędzie sobie to wszystko, z czego część i na mnie spłynie!...

— Ach to są warunki nie wykonalne!—zawołał śmiejąc się Cezaryusz.

— Być może — odpowiedziałam z obojętnością — mówię tu tylko o moich marzeniach!

— Jakże okrutne były marzenia pani! Co najmniej, można je wziąć za anachronizm! Czasy, wyobrażenia zmieniają się... a gdzie dzisiaj, przy danych warunkach znajdzie kto sposobność?

— Masz pan słuszość; przy dzisiejszych wyobrażeniach najlepiej i najkorzystniej jest dla mężczyzn być zerem!... Ach to zero, osobliwie gdy jest obrączką złotą, ma także bardzo wiele powabu!... Ale zkadże się wezmą liczby? Przecież same zera żadnej liczby nie tworzą!

Twarz Cezaryusza spoważniała. Patrzył na mnie czas niejaki w milczeniu, a potem rzekł:

— W żartobliwem usposobieniu swoim trącasz pani rzecz wielką i nader bolesną. Nie wiem, czy mam na nią w tymże samym żartobliwym tonie odpowiedzieć i po tej odpowiedzi wrócić do deszczu i pogody, czy mam ją wziąć dla siebie pod dojrzałą rozagę!

— Zostawiam to panu zupełnie do wyboru!

— Słowa pani mają pozór noty dyplomatycznej, która bodaj czy nie mieści w sobie — *ultimatum*!

— Może to tylko alarm fałszywy, aby adwersarza zmusić do rozwinięcia sił swoich!

— A jeśli żadnych sił nie ma?

— W takim razie odebrane mu będzie jego panowanie!

Wymówiwszy to tonem żartobliwym rozśmiałam się serdecznie, bo zaturbowana twarz Cezaryusza mimowolnie ten śmiech z piersi mi wydarł! Patrzył on przed siebie wzrokiem tak dziwnie zrozpaczonym, jak go jeszcze nigdy nie widziałam. Wydawał mi się w tej chwili podobnym do milionera, który sięgnąwszy do skrzyni, zastał ją nagle pustą. Miliony jego skradziono mu, a co leżało, to były fałszywe liczmany, których przyjąć nie chciano.

— Czy zatrwożyłeś się pan tak okropnie o swoje panowanie? zapytałam żartobliwie.

— Przeciwnie — odparł Cezaryusz — zaturbowałem się obawą — że dotąd nie panowałem, i że może na przyszłość panować nie będę!

— Cóż pana skłania do tych słów zrozpaczałych! — mówiłam dalej w żartach.

— To, że jestem zerem! — przytłumionym głosem odparł Cezaryusz.

— Ach to już dobrze! zawołam śmiejąc się i klaskając w dłonie; to już dobrze, jeżeli jest zero, to potrzeba tylko jakąś liczbę przed nie!

— Może będziesz nią pani! — zauważył zgryzliwie.

— Bardzo często to się trafia — odpowiedziałam z powagą. Jeżeli mężczyźni nie stają liczbą przed zerem, to już ciż musi stanąć druga połowa. Ja jednak tam nie stanę.

Twarcz Cezaryusza zmusiła mnie znowu do śmiechu. Nie miałam wyobrażenia, żeby ktoś tak nagle mógł stracić pewność siebie, na której się dotąd opierał. Są wprawdzie ludzie, którzy bez grosza w kieszeni, będą nosić zawsze głowę do góry jakby byli bogaczami; a są tacy, którzy nagle spuszcza z rozpaczą głowę do ziemi, gdy spostrzegą że zapomnieli z sobą wziąć pieniędzy. Wtedy kiedy ich przekona, że jego zdanie jest lepsze, każdemu ustąpią się z drogi, a nawet gotowi znieść pokornie obelżywą zniewagę. W pieniądzech bowiem stracili grunt, na którym opiera się u nich wszystko!

Do podobnych ludzi należał prawdopodobnie Cezaryusz. Gdy mu żartobliwie powiedziałam, że odziedziczony jego majątek, bez własnej jego pracy i zasługi, nie uważam za majątek; gdy mu napomknęłam, że mężczyzna powinien



własnymi siłami w społeczeństwie swoim dobijać się o drugi, moralny majątek, z którym mógłby się dopiero godnie podzielić z osobą ukochaną: był pewny biedny bankrut, że już nic nie ma, że mu wszystko odebrała a nawet i przyrzeczenie ręki!...

— Teraz panią zaczynam pojmować!—ozwał się po chwili ocierając pot z czoła—dotąd brałem pojedyncze, rzeczne słowa pani za grę frazesów!

— Bo pan przyzwyczaiłeś się i wychowałeś w świecie frazesów! — zauważyłam z niejaką urazą.

— Być może; ale jakże to *fatum* odmienić?

I zaturbował się jeszcze sromotniejszy biedny Cezaryusz. Żał mu było pozbyć się swego niegodziwego, w świecie czczonych foremek wyrosłego, sobowtóra! Wzięłam go za rękę i budząc w nim stronę żartobliwą, rzekłam do niego:

— Nie żałuj pan tego świata! W nim nic nie ma, jak w dziurawym orzechu! Pójdź pan ze mną w mój świat, wprowadzę trochę idealnie wymarzony, ale świeży, wonny i zielony jak rośliny gór naszych!

— W świecie pani jestem zerem! — odparł rozpaczliwie Cezaryusz.

— Dlaczego zerem? — zapytałam nachylając się ku niemu.

— Dlaczego zerem?... Najprzód nie uczyłem się być czémś więcej, czy raczej mnie nie uczono. Powtóre, gdybym nawet w spóźnionym wieku przyszła mi chętka nauczania się czegoś, jak Katonowi zachciało się grecczyzny na starość, to nie widzę ani pola ani warunków....

— O! nie patrz pan tak czarno—odpowiedziałam—jest wiele rzeczy, napozór drobnych i małych. Potrzebujemy tylko ręką sięgnąć a dostaniemy je! Tylko egoista stoi sam i nic nie widzi dokoła! Lepszy czują nici wiążące ich z ogółem!... Są słabsi i chorsi od nas, są ciemni i małoletni, a ci wszyscy pragną światła, nauki i przykładu! Czyto tak wiele?... Jeden taki kwiatek, własną ręką na tém polu uszczknęty, stanie mi za wszystkie kwiaty egzotyczne!... Bo to będzie własny, zrobiony majątek!... Dlatego na miejsce tego pysznego bukietu postawiłam ten skromny kwiatusek powojowy, boś go pan sam z pomiędzy cierni wydobył!... Za

kwiaty egzotyczne zapłaciłeś pan tylko! Zapłaciłeś pieniędzmi, Neptunem i zdrowiem Pawelka!...

Cezaryusz siedział chwilę zamyślony; potem wstał nagle, wziął bukiet ze stołu, a otworzywszy okno wyrzucił go na gazon.

W tej chwili podniósł się ojciec od kominka, przystąpił ku nam i rzekł głosem stanowczym:

— Mówcie sobie co chcecie, a ja wam powiadam, że z tego nic nie będzie!

— Z czego nic nie będzie? — zapytał Cezaryusz i zbladł dosyć znacznie.

— Przyjaźni w ten sposób się nie zawiera — prawił dalej ojciec — jeśli jedno gwałtem chce trucizny, a drugie dla podsyceńcia mrzonek mu je poddaje!... Opium to trucizna!

— Któż chce tej trucizny, a kto ją daje? — zapytałam nieco zdziwiona.

— Głupi chce, a podstępny daje, i za to opium chce jeszcze przyjaźni!... — odparł ojciec zgryźliwie. Sądzę jednak że do przymierza między Anglią a Chinami bardzo daleko, choćby Chińczycy jeszcze więcej opium konsumowali, jak Anglicy produkują!

Cezaryusz odetchnął i serdecznie roześmieliśmy się oboje.

## XXII.

Nazajutrz zajęcia gospodarskie zbudziły mnie wcześniej niżeli zwykle. Ponad sine lasy właśnie wznosiło się słońce. Biała mgła wstawiała z gór i prostym słupem pięła się do nieba. Topole na dziedzińcu błyszczały milionami kropli rosy. Z pomiędzy konarów wymykały się ptaki jeden po drugim i szykowały się do wielkiego chóru, który wkrótce miał się ozwać poranną pieśnią!...

Oprócz czeladzi wszystko jeszcze było pogrążone we śnie. Zbliżyłam się do okna i kilka chwil patrzyłam na ten uroczy, budzący się przedemną obraz. Tam w głębi wypłynęła i przesunęła się jakaś postać ludzka. Zabłąkana krówka stanęła na chwilę i szukała oczyma swoich towarzyszek. Stary Mucek wyprawiał po gazonie rozkoszne skoki, jakby



przeczuwał, że za lada chwilę skończy się jego swoboda i że znówu na cały dzień boży będzie musiał wrócić do obroży i łańcucha.

Stałam chwilę i napawałam się tym porannym widokiem. Wzrok mój padł wreszcie na oficynę, gdzie mieszkał Cezaryusz. Zazwyczaj dosyć długo na dzień były tam firanki w oknach spuszczone; dzisiaj spostrzegłam z niemalem zadziwieniem, że okna były już odsłonięte.

Uderzyło mnie to. Przypomniałam sobie wieczór wczorajszy; zatrzymałam się przy oknie i patrzyłam na drzwi oficyn.

Za kilka chwil otworzyły się drzwi, a na progu ukazał się Cezaryusz. Zdawało mi się, że przelotnie spojrzął w moje okno; potem spuścił głowę i jak człowiek, który nad czemś myśli, puścił się pierwszą lepszą ścieżką.

Ukryta poza kwiatami wiodłam za nim okiem. Przeszedł wzdłuż dziedzińca dwa razy, jakby żadnego celu wytkniętego nie miał; potem zwrócił się na prawo i wszedł na ścieżkę, która prowadziła w dziki, osamotniony wąwóz.

Przeczułam, że prawdopodobnie wspomnienia wieczoru wczorajszego zbudziły go tak rano, a może nawet i wcale mu w nocy spać nie dały! Przeczułam, że w tej chwili myśli o mnie, że rozbiera i tłumaczy sobie każde słowo, które wczoraj napół żartem, napół z powagą wywówiłam. Zawsze była to dla mnie chwila ważna. Mogłam z tych samotnych dumań wyjść piękniejszą i więcej upragnioną; lecz mogłam oraz stracić w jego oczach cały mój urok i przedstawić się tylko jako exaltowana, kapryśna istota, która sama nie wie czego chce od świata i ludzi!...

Przyznam się, że myśl ostatnia nabawiła mnie niejaką obawą. Czy to była próżność kobiety, czy jakie szlachetniejsze uczucie, nie umiem powiedzieć. Serce moje zaczęło bić niespokojnie. Słyszałam głos w duszy:

Cóżby to było, gdyby Cezaryusza zniechęciły wczorajsze moje słowa? Gdyby uczuł obawę przedemną, że zamiast kochającej kobiety weźmie sobie mentora, który ustawicznie kroki jego poprawiać będzie! Gdyby rozmyśliwszy się.....nie, to być nie może! Wszak on widocznie kocha mnie!.... Ale czyż to wystarcza mężczyźnie, jeżeli on sam tylko kocha, a z przeciwnej strony nie widzi dla siebie wza-

jemnego, bez żadnych zastrzeżeń oddanego mu serca? Czyż nie poczyniłam wczoraj wyraźne zastrzeżenia?...

Wyznam otwarcie, że przy podobnych myślach zrobiło mi się bardzo smutno. Nie wiem, czy mi żal było siebie czy Cezaryusza; wiem tylko, że nie byłam z siebie zadowolona i że na płacz mi się zbierało, gdy sobie prorocтво stryjenki przypomniła, że przy takiem usposobieniu mojem nie będę szczęśliwą!

Cóż jednak miałem począć? Czyż miałam wprost oddać się Cezaryuszowi jako towar nieznany? Czyż nie lepiej było powiedzieć mu, czém jestem, i czém on dla harmonii na przyszłość być powinien?

Odstąpiłam od okna i zbliżyłam się do mego klęcznika; klęcznik ten był spuścizną po nieboszce matce. Na nim przeklęczała nieraz matka moja długie nocy, gdy niepewność o moje przyszłe losy ją trapiła....

Na tym klęczniku uklękłam i zaczęłam gorąco modlić się. Dziękowałam Stwórcy, że mnie taką stworzył a nie inną, ale oraz błagałam aby mnie osamotnioną nie zostawiał na świecie, aby moje uczucia i pragnienia przelał w duszę mego przyszłego towarzysza tak, żebyśmy oboje całkowitą harmonię stanowić mogli!...

Po modlitwie uczułam się pokrzepioną, i mogłam swobodnie udać się do zatrudnień domowych.

Przed południem wrócił ojciec z pola na śniadanie; prawie równocześnie, chociaż inną zupełnie drogą nadszedł także Cezaryusz. Po przywitaniu się spojrzałam na niego z trwogą i nadzieją, nie wiedząc co z jego twarzy wyczytał. Zdawało mi się w tej chwili, że ten człowiek nie był i nie może mi nigdy być obojętnym. Czy to już była owa miłość, o której marzyłam? Zdawało mi się przynajmniej, że się do niej już zbliżam....

Cezaryusz był dzisiaj blady na twarzy. Widać było, że prawdopodobnie strawił noc bezsenne. Na jego czole pozostały ślady myśli poważniejszych. Koło ust miał coś smutnego, jakby czuł żal do kogo, co mu krzywdę wyrządził.

Miałam sobie za obowiązek wygładzić jego czoło. Moje serce wyrzucało mi, że może za dotkliwie wypowiedziałam mu wczoraj moje zdanie. Nie chciałam tego zdania cofnąć, ale chciałam je okryć jakimś łagodzącym balsamem.



Spojrzałam na niego wzrokiem szczerym i przyjaznym. Mógł w moich oczach jasno czytać, że tam głębiej było dla niego serce, które wczoraj może jeszcze tak żywo nie wypowiedziało tego co czuje.

Cezaryusz badał mnie dziwném spojrzeniem. Było w tém spojrzeniu jakieś niedowierzanie, był żal i smutek, ale oraz wychylała się z poza tych chmurek, jaśniejąca pięknymi barwami nadzieja...

Ośmieliłam tę nadzieję i pozwoliłam jój zająć pierwsze miejsce; ścisnęłam go serdecznie za rękę i rzekłam z uśmiechem:

— Sprawileś mi pan wielki niepokój. Widziałam rano pana wychodzącego z oficyn...

— Jakto? — podjął szybko Cezaryusz — pani wtedy już nie spałaś?... Wszak w oknie nikogo nie widziałem!..

— Prawda, że nie widziałeś pan — odpowiedziałam patrząc na niego — i nigdy może w podobnym razie pan mnie nie obaczysz! Kobiety nie lubią być widziane wtedy, gdy patrzą... z niepokojem serca!

Twarz Cezaryusza rozjaśniła się, oczy jego błysnęły nowém życiem. Postąpił szybko ku mnie, wziął mnie za rękę, trzymał ją w milczeniu chwil kilka, a potem wycisnął na niej gorący pocałunek.

Patrzałam w oczy Cezaryusza i widziałam jasno, że z dumań jego samotnych wyszłam zwycięzko. To obowiązywało mnie względem zwyciężonego. Byłam dla niego tak serdeczną, jak tylko mogłam. Rozmawialiśmy wiele z sobą, a przy każdej sposobności okazywałam mu dawne moje uczucie, a nawet może jeszcze więcej, niżeli to stać się mogło przed wczorajszą rozmową. Zdawało się, że nawet myśli jego uprzedzałam, tak dziwnie wszystko się wiązało!

Cezaryusz był mniej ożywiony niżeli zwykle. W jego twarzy i oczach było coś gorączkowego. Był podobny do człowieka, który przygotował się na coś gorszego od tego, co go spotkało. Oddychał pełną piersią, z przepełnionego serca. Często brakowało mu powietrza. Po każdym głębszem westchnieniu patrzył na mnie spojrzeniem, w którém czytać można było, że jest szczęśliwy!

Gdyśmy byli w ogrodzie a Cezaryusz małemu robaczkowi pomagał wyleźć na korę drzewa, po której snąc do słońca

dążył, patrzałam niejaki czas z uwagą na niego; potem wzięłam go za rękę i rzekłam:

— Widzę że po nocy bezsennój i samotnej przechadzcę jesteś pan weselszym a nawet i lepszym!

— Ach! noc okropna karmiła mnie tak czarnemi obrazami, a słońce dzienne wróciło mi w dwójnasób to, co mi noc odebrać chciała!

— I dlatego temu robaczkowi chcesz pan także słońca udzielić?

— Gdyby ono dla niego mogło być tém, czém dla mnie!

W téj chwili otwartą furtką od ogrodu, której Cezaryusz zamknąć za sobą zapomniał, weszła biedna, mała dziewczynka i w milczeniu stanęła przed nami. Jój duże czarne oczy patrzyły na nas z niemą prośbą: była to sierota ze wsi.

— A temu robaczkowi nie pomożesz pan do słońca i światła?—zapytałam biorąc sierotę za rękę.

Cezaryusz patrzył na mnie czas niejaki, a po czole jego przebiegały różne myśli. Zapewne były piękne i szlachetne, bo zostawiały za sobą w przebiegu świetlaną, fosforyzującą drogę: wreszcie wziął sierotę za drugą rękę i odparł:

— Pozwolisz pani że ta dziecina stanie się pierwszym groszem owego kapitału, którego każesz mi się pani doraabiać, aby być jój godnym. Niech przynajmniej powiem do siebie, że w téj chwili nie jestem już tak ubogim, jakim byłem wczoraj przed wieczorem!... A będę prawdziwym bogaczem, jeżeli posiadę to serce, którego, jak to się przekonałem, dotąd jeszcze w całości posiadać nie byłem godnym!

Rzekłszy to podniósł rękę swoją i długo, długo trzymał ją przy ustach. Czułam jego gorący oddech, czułam jak drżały w nim wszystkie nerwy. Uścisnęłam go serdecznie za rękę, a oczy moje zasły łzami. Wyrzekłam urywanym głosem:

— W imieniu tych, którzy naszej opieki potrzebują, w imieniu najżywotniejszych obowiązków naszych, dziękuję panu za tę pociechę, którą sercu memu sprawiłeś!... Sierotka ta nie będzie jedyną. Pomyślimy wspólnie o wszystkich jój rówieśnicach i postaramy się o ciepło i o światło dla nich!... Wierzaj mi pan, są drobne i małoznaczne końce



nici, które nas prowadzą do całego pasma! Chcąc zawładnąć całym pasmem, trzeba chwycić te nitki wiszące!

Kiedy tych słów domawiałam, czułam że moja ręka zniżać się ku ziemi. Spojrzałam na ziemię a przedemną—klęczał Cezaryusz i rękę moją całował!

Była to pierwsza, żywsza chwila w naszych dziejach.

### XXIII.

Od tego czasu widziałam wielką zmianę w usposobieniu Cezaryusza: z człowieka żyjącego tylko gładkimi formami świata towarzyskiego, przechodził zwolna na człowieka naturalnego i głębiej myślącego.

Najprzód sam ubiór zdradzał jego wewnętrzną odmianę. Dawniej lubił obwieszać się mnóstwem wyszukanych a błyskotliwych drobnostek. Drobnostki te przez cały dzień tworzyły jego jedyną zabawkę. Bawił się to lornetką, to brelokami, to łańcuszkiem od zegarka, to jakimś medalionikiem. Naśladował pod tym względem tych chodzących salonowych automatów, którzy nie wiedzą co z życiem, a co z rękami zrobić. Również i w kolorach ubrania swego był nieco fantastyczny i przestrzegał tego punktualnie, aby co dzień, stosownie do tużurka, zmieniać cały ubiór. Słowem co do całej swojej powierzchowności pasował on na powszedniego konkurenta czy narzeczonego, któremu się zdaje, że serce narzeczonej tylko tym sposobem może żywić i na uwięzi trzymać, jeśli codzień w jaskrawszej będzie się ję ukazywał tkaninie!

Cezaryusz stawał się z każdym dniem naturalniejszym. Ubierał się tak, że nie jego ubiór, ale on sam, twarz jego najpierw w oczy wpadała: żadne błyszczące i jaskrawe akcesorya nie czyniły ję ujemy.

Gdy kiedykolwiek do mnie się zbliżył, ujrzałam najpierw twarz jego i wyraz na téj twarzy, a nie błyszczące breloki, złociste medalioniki, kamizelkę w jaskrawe pasy albo tużurek wykwintny!

Nawet co do całego obejścia się ze mną, zmienił się zupełnie. Pierwój w rozmowie gonił nieustannie za jakimś dowcipem, zręcznym kalamburem i przypominał mi mimowolnie owe smutnej postawy pisma, które mają napis na

czele: „pismo humorystyczne i dowcipkowe,” w którym tak trudno zawsze o humor i dowcip!.... Zdawało mu się, podobnie jego wychowania, że najpoważniejsze rzeczy potrzebują zawsze nieco uśmiechu, sarkazmu, ironii i dowcipu. Bez tej mixtury niewolno nigdy mówić światowemu człowiekowi, bo to rozśmiesza. Zresztą narzeczony powinien być esencją tych wszystkich reguł i foremek, przynajmniej na ten czas, który go jeszcze od ślubu oddziela.

I Cezaryusz pozował zrazu na takiego narzeczonego. Teraz jakoś wyszedł z roli swojej. Mówiliśmy z sobą po długich wieczorach bez obowiązkowego uśmiechu, bez nieuniknionego sarkazmu, a nawet na dowcip dobry rzadko mogliśmy się zdobyć. Za to mówiliśmy wiele o różnych projektach naszych na przyszłość i po raz tysięczny umawialiśmy sposoby, któreby nas najbliższą drogą do tego celu zaprowadzić mogły, który nam w osobie tej biędnej sirotki, tak żywo w ogrodzie wtenczas stanął przed oczami!

Udało mi się także pogodzić Cezaryusza z duszną atmosferą mojej biblioteczki. Rano, gdy jeszcze spała, siedział już między memi książkami i czytał. Idąc do oficyny, brał je z sobą i tamże późno w noc był niemi zajęty. O dniu ślubu naszego nic nie wspominał, jakby sam był przekonany, że przed tém jeszcze wiele uczynić mu wypada.

Za kilka tygodni przyjechała do nas Ewunia. Korzystając z pierwszej sposobności rzekła do mnie:

— Nie rozumiem i nie pojmuję, jaki talizman masz przy sobie. Stwarzasz i przetwarzasz ludzi, jak ci się podoba. Stanisław nie może się wydziwić, co się stało z Cezaryuszem. Niktby go nie poznał teraz. Człowiek używający świata, zamożny i skoligacony, radby zerwać wszystkie z większym światem łączące go ogniwa, aby tylko z tobą w kurnych chatach nad poprawą ich mieszkańców marzyć. Pozabierał Stasiowi wszystkie poważniejsze książki, których nikt nie czytał i rozczytuje się teraz w nich po całych nocach, aby się czegoś więcej nauczyć. Nawet ambicya, jakiej nigdy nie miał, budzi się w jego sercu. Wczoraj mówił do Stasia, że musi wejść w czynne życie społeczeństwa, bo tak być próżniaczem zerem już dalej nie może! Nalegał nawet na Stasia, aby to samo uczynił i prawił mu z tego



powodu kazania podobne zupełnie do kazań Skargi!... Gdybyś Renio mnie tego sekretu nauczyła?

— Wszak ty jesteś szczęśliwa!—Stasio twój wystarcza ci!—odpowiedziałam z udaną obojętnością.

W oczach Ewuni zaświeciły się łzy. Nie chcąc je okazać, zbliżyła twarz swoją do mnie i gorąco mnie ucałowała. Ucałowałam ją serdecznie nawzajem, i tuliłam długo do siebie, bo czułam po jej łkającej piersi, że mego cieplejszego uścisku bardzo potrzebuje!

Biédna Ewunia! W tej chwili byłam szczęśliwsza od niej!

## XXIV.

O dniu ślubu naszego nie mówiliśmy w ostatnich tygodniach z Cezaryuszem. Zdawało mi się że po tym dziwnym zwrocie w dziejach serc naszych, stracił odwagę wzięcia w tym względzie inicjatywy. Czekał, aż sama o tém mówić będę. Tylko przez Stanisława i Ewunię dowiadywał się nieznacznie, jakie w tej mierze jest moje zdanie. Dałam mu tą samą drogą do poznania, że życzeniem mojem jest, aby to w tym roku jeszcze nie nastąpiło.

Wybierając się do nas, urządził się Cezaryusz tak, aby w razie niepowodzenia swego, mógł wprost za granicę wyjechać; dłuższy więc pobyt u nas nie czynił mu żadnej różnicy. Mimo to w ostatnim tygodniu otrzymał listy z domu, które wymagały jego obecności w majątku. Zachęciłam go sama do tego, raz, aby mu dać swobodę i zupełną w tej mierze niezależność od siebie; powtóre, chciałam przez rozłączenie nasze stworzyć dla niego i siebie nową sytuację, która w dziejach dwojga serc czystą jest zbawienną potrzebą.

Cezaryusz żył dotąd, oddychał i marzył pod wrażeniem mojej obecności. Mogę to samo i o sobie wzajem powiedzieć. Rozłączenie się nasze na niejakiś czas, mogło dla niego i dla mnie być nie małą korzyścią. Wyszedszy po za atmosferę mego wpływu mógł z większym spokojem myśleć o mnie i o tém wszystkiém, co się do mnie wiązało. Mógł z światem poprzednim zawiązać na nowo stosunki i przekonać się, czy miłość dla mnie może te stosunki opa-

nować i wśród nich stać się konieczną potrzebą życia. Sądziłam, że na tém nic stracić nie powinnam, a jeżelibym straciła, to strata taka jest zawsze dla kobiety nieocenionym zyskiem! Lepiej przeboleć chwilę niżeli płakać całe życie!

Dla siebie pragnęłam także téj swobody. Miłość może się wprawdzie od szafu zacząć, ale dojrzewa do najwyższej potęgi tylko w duszy uspokojonej. Rozszalałe serce może na razie być zdolne do wielkich poświęceń, ale miłość zamieszkała w sercu spokojném przetrwa życie i sięgnie poza grób!... Tego uspokojenia i téj niezawisłości serca pragnęłam.

Z końcem sierpnia pożegnałam Cezaryusza. Odpróbowaliśmy go z Ewunią aż poza las i tam na wzgórzu rozstałam się z moim narzeczonym. Żegnając się ze mną miał łzy w oczach. I moje oczy nie były suche...

Gdyśmy wracały do domu, mówiła do mnie Ewunia:

— Sądziłam, że ty nigdy kochać nie będziesz. Wydało mi się, że jesteś bez serca. Żyłas tylko wyobraźnią i mrzonkami. Teraz widzę że nie tylko sama kochasz ale nawet innych umiesz natchnąć uczuciem, o jakim oni dawniej nie marzyli! Jasno jak na dłoni, że Cezaryusz przy tobie stał się zupełnie innym człowiekiem. Nie czynię teraz z tego żadnej tajemnicy przed tobą, że twój narieczony zupełnie innym człowiekiem zbliżał się do ciebie. On chciał się po prostu ożenić, aby być w tym względzie do innych podobnym, a ty wróciłaś mu młodość jego, młodość serca i duszy. Przy tobie żyje on po raz drugi. On który już wybornie czytać umiał, uczy się dopiero sylabizować!

Na to szczebiotanie Ewuni nic nie odpowiedziałam. Byłam zamyśloną i jakiś dziwny smutek owładnął serce moje. Wy tłumaczyłam go sobie bardzo naturalnie. Każde rozstanie się ze znajomymi napawa nas tém przykrém uczuciem, a cóż dopiero rozstanie się z narzeczonym?...

W pierwszych dniach zajęłam się gorliwiej gospodarstwem domowém. Również i wyprawa kosztowała mnie wiele czasu. Ojciec mój nie należał do tych ludzi, którzy odrazu z zagranicy wyprawę sprowadzają. Życzył sobie aby wyprawa odbywała się zwolna i o ile to być może, pod mojem własném okiem. Chciał tym sposobem grosz u swoich zostawić a przytém i mnie czegoś pożytecznego nauczyć.



Wiele dla tego rzeczy szło się w naszym domu, z czego i ja korzystać mogłam.

Nie było dnia, aby po coś nie trzeba było do pobliskiego miasta wyjechać. Mniejsze sprawunki załatwiał ktoś z domowych, a z ważniejszymi jechałam sama, albo najczęściej w towarzystwie Ewuni, dla której podobne przejażdżki były wielką rozrywką.

Pewnego dnia pojechaliśmy obie do miasta. Dzień wrześniowy był dosyć ciepły i pogodny. Ewunia szczebiotała ustawicznie o moim szczęściu, o mojej przyszłości. Opowiadała mi po raz setny treść listu, który Cezaryusz pisał do Stanisława. Rozumie się, że w tym liście tylko o mnie mowa była. Ewunia wiedziała każde słowo na pamięć i snuła z nich całą złotą przyszłość moją.

Mówią zazwyczaj, że serce przeczuwa każde większe nieszczęście. Snać nic mi w tej chwili nie groziło, bo miałam w duszy taką samą pogodę, jak jaśniała na ciemno szafirówym niebie nademną.

W mieście wypadło nam kilka sklepów odwiedzić. Przeszliśmy się kilka razy po ulicach, a to wystarczyło już aby zwrócić na siebie uwagę większej części mieszkańców. Słyszałam jak za mną mówiono i pokazywano palcami. W twarzach, które na mnie patrzyły widziałam ciekawość ale oraz i życzliwość. W oczach wszystkich czytałam, że są przekonani o moim szczęściu, i że tę szczęśliwą osobę z bliska oglądać chcieli. Osobliwie ciekawemi okazały się kobiety.

Już z południa weszliśmy do sklepu modniarki, aby kilka haftów według podanych wzorków zamówić.

Modniarka była to osoba już nie młoda. Uważając jednak za swój obowiązek służenia wyrobom swoim za manekina, ustroiła się w najrozmaitsze i najświeższe koncepta mody miasta obwodowego.

Ewunia zwróciła na to moją uwagę i wprawiło to nas w jeszcze lepszy humor. Rozumiałyśmy się spojrzeniami i śmiały się w duchu.

W ogóle u kobiet tegoż miasta widziałyśmy bardzo mało gustu w ubraniu. Moda, owa panująca forma estetyczna, wyradzała się najczęściej u nich w jakieś dziwactwo excentryczne. Między jednym a drugim ubraniem nie by-

ło najmniejszej harmonii. Wszystko tam miało swoje przywileje autonomiczne: kapelusz był sam dla siebie i nie troszczył się wcale o kolor sukni lub zarzutki; te same swobody wywalczyły sobie i inne części ubioru zaczawszy od rękawiczek a kończąc na bucikach.

Jedna tylko kobieta wpadła mi zdala w oko całą swoją postacią. Była w kolorze jednostajnym, popielatym. Ubiór jej należał do skromnych, ale tyle było w nim estetycznego zmysłu, że wydała mi się tutaj jak zabłąkana z innych sfer ptaszyna. Przeszła zdala koło nas z całym powabem naturalnych, a tém samém jedynie pięknych ruchów kobiecych. Zwróciłam na nią uwagę Ewuni, która wprawném okiem swoim odgadnąć w niej chciała osobę, tak zwanego wyższego towarzystwa. Ewunia pod tym względem hołdowała przesądom, które temuż wyższemu towarzystwu nadają wyższe zewnętrzne przymioty. Wkrótce jednak straciłyśmy z oczu tę piękną, popielatą postać kobietę.

Wszedłszy do modniarki przekonałam się, że z tak mętnego źródła, czysta woda płynąć nie może. Naturalnie byłam w świątyni mody, z której na całe miasto wychodziły natchnienia. Biédneż to były owoce tych natchnień!

Obejrzałyśmy z Ewunią wiele rzeczy, bo to sprawiało dla niej zawsze wielką rozrywkę; umiała ona w takim razie sztukę modniarską w najskrytszej tajemnicy podpatrzeć i potém skorzystać z tego dla siebie.

Wreszcie przystąpiłyśmy do właściwego celu naszych odwiedzin. Okazałyśmy wzorek do haftu i zażądałyśmy takiej roboty. Modniarka wyjęła różne hafty, ale były to po większej części jakieś rysunki monstrualne: nie przyjęłyśmy żadnego i chciałyśmy według danego wzoru zamówić.

Zdaje się, że to nie podobało się modniarce. Chciała przedewszystkiem pozbyć się swego gotowego towaru; z kwasiłą więc miną powiedziała nam, że w całym mieście nie piękniejszego nie znajdziemy, a na zamówioną robotę nie ma czasu: liczyła zapewne na to, że nam haftu koniecznie potrzeba i że będziemy zmuszone wziąć jej olbrzymie palmy o najeżonych cierniach.

Kiedyśmy się z Ewunią nad tém co dalej będzie, naradzały, otwarły się szybko drzwi sklepu, a przed nami stanęła kobieta popielata.

Dziwnego doznałam w tej chwili uczucia. Nie wiem, czy to była próżność kobieca, że podług wszelkiego prawdopodobieństwa stanęła obok mnie piękniejsza odemnie kobieta?... Czy to było jakieś ciemne, niejasne przypomnienie?... Ewunia wzięła się natychmiast do przejrzenia ulubionych przez nią drobnostek. Z wyrazem krytyka zaczęła od fałbanków dolnych i szła powoli po wszystkich szwach i fałdach aż do końców welonika.

Co do mnie nie widziałam wcale tych ornamentów. Wpatrzyłam się w całą tę postać, a patrzyłam wzrokiem nie obojętnym, bo zbliżenie się tej kobiety ogarnęło mnie dziwnym uczuciem.

Nieczajoma zatrzymała się na dwa kroki przed nami. Ruchy jej znamionowały osobę młodą i nadzwyczaj żywą. Spojrzała na nas z pewną uwagą. Z pod czarnej koronki zabłysły ku nam duże, wyraziste oczy.

Stała tak chwilę. Snać czuła jakieś zmęczenie, bo jedną ręką oparła się szybko o stół modniarki.

Po kilku chwilach zaczęła jej pierś powoli podnosić się. Rzuciła w tył głowę i wyprostowała się, jakby na nas z góry patrzeć chciała. Nie wiedziałam, co jej w obec nas, kazało przybrać pozę tak dumnej a nawet pysznej kobiety.

Wreszcie wyjęła z za rękawka drobnutką rączkę, błysnęła nią przed naszymi oczami i odsłoniła twarz swoją.

Rzeczywiście przeczułam dobrze. Była to piękność skończona, a nawet rzadka w swoim rodzaju: twarz blada, nadzwyczaj regularnych rysów; koloryt akwarelowy, lekko i przezroczysto narzucony; włosy bujne, jasno-blond, ożywione, jakby zachodnie słońce je oświecało; do tego jako precudny kontrast: oko duże, ciemnoszafirowe. Twarzy tej odpowiadała cała postać, w której wątlność kształtów walczyła dziwnie z widoczną energią.

Patrząc na nas, czy raczej pozwalając nam w nią się wpatrywać, dziwny przedstawiała widok: oczy jej zaczęły jeszcze mocniej ciemnieć, czoło przybierało zwolna ton świeżego bronzu; usta bladły i zaciskały się coraz więcej.... Na chwilę okrasila się jej twarz żywym rumieńcem, a potem zbladła nagle jak ściana.

Chciałam w tej chwili zapytać ją czy nie jest chora,—kiedy nagle zarzuciwszy koronkę na twarz zwróciła się ku



drzwiom i wyszła. Wyjrzałam jeszcze przez szklane drzwi za nią, ale tylko szary cypel jęj sukni mignął mi na skrajcie ulicy.

Ewunia natychmiast zapytała się o nią modniarkę.

Modniarka miała dość kwaśną minę, żeśmy nie nie kupiły. Odpowiedziała z niechęcią:

— To obywatelka ze wsi.

Więcej nie nie mogłyśmy się dowiedzieć; zresztą nie wypadało nam wypytować się o kogoś, kto nas wcale wiele nie obchodzi.

Wyszedłszy na ulicę, szliśmy długo obok siebie w milczeniu, Szara kobieta zatrudniała naszą wyobraźnię. Co mogło być powodem tego dziwnego patrzenia na nas? Czy może to jaka obłąkana? Dlaczego koleją rumieniec i bledłość występywała na jęj lica?

Takie pytania zadawałyśmy sobie najprzód w duchu; potem zaczęłyśmy mówić o tém, ale nie mogłyśmy téj zagadki w żaden sposób rozwiązać.

Wreszcie wszystkie nasze wnioski psychologiczne musiały ustąpić potrzebie zamówienia gdzie haftu. Obeszłyśmy znowu kilka sklepów i znużone wróciłyśmy do hotelu nie załatwiwszy gorącej sprawy w hafcie.

W hotelu, jak to zwykle bywa, wszedł zaraz do nas żydek usłużny i ofiarował swoje usługi.

Napół w żarcie objawiła mu Ewunia kłopoty nasze o hafciarkę, i aby uczynić scenę tę humorystyczniejszą, okazała żydkowi przywiezione wzorki tłumacząc mu pojedyncze linie i przezrocza.

Pocziwy żydek patrzył na wzorki z nadzwyczajną powagą. Żarcik Ewuni wziął na seryo; kazał sobie jeszcze wytłumaczyć niektóre zygzaki i punktowania, włożył rękę w brodę i tak czas niejakiś długo myślał: wreszcie uderzył ręką w czoło, jakby tam coś mu zaświtało, i rzekł:

— Jest tu jedna co to zrobić może, ale trzeba do nięj iść, bo ona tu nie przyjdzie! Ja już nieraz do nięj chodziłem.

— A więc chodźmy, póki czas jeszcze mamy—rzekła Ewunia i pociągnęła mnie za sobą.

Z niechęcią poszłam za nią. Jakoś mi nie przyjemnie było, że mnie wyrwała od różnych dumań moich; zadumałam się bowiem w téj chwili. Różne obrazy przesuwały się

przedemną: jedne były piękne i ponętne, drugie smutne i szare, jak suknia owój nieznajomój....

Szłyśmy długą ulicą. Na przód nas biegł żydek i oglądał się co chwila, czy mu nie uciekniemy. Od czasu do czasu machał ręką poprzód siebie, jakby chciał nam powiedzieć, że już niedaleko nas jest cel naszej wycieczki.

Tymczasem ten cel był strasznie oddalony. Szłyśmy bez ustanku może godzinę; wreszcie już i miasto dawno się skończyło, a tylko małe pojedyncze domki widać było tu i owdzie.

Do jednego z takich domków wprowadził nas żydek. Weszłyśmy przez pochyłą bramę najprzód do ogródka. Zaraz za bramką ułapał nasz cicerone jakiegoś małego chłopaka o jasnych włosach, który piłką się bawił i zapytał go o coś, czego nie mogłyśmy słyszeć. Chłopiec zamiast odpowiedzi wskazał na małą altankę, utworzoną z tyk leszczyny i ocienioną zielonemi splotami fasoli. Zwróciłyśmy się do tej altany. Na odgłos naszych kroków wyszła ku nam szara kobieta.

Miała oczy czerwone, jakby od płaczu. Obaczywszy nas wyprostowała się z dumą i zapytała dźwięcznym głosem, czego żądamy: Ewunia odpowiedziała jej na to.

Szara nieznajoma stała niejakiś czas i patrzyła na nas z wielką uwagą. Jój twarz drgała jakby cierpiała konwulsy; wreszcie rozśmiała się cierpkim uśmiechem, a uczyniwszy gest ręką, abyśmy szły za nią, rzekła do siebie półgłosem:

— Nie, to istna ironia losu!

( Ciąg dalszy nastąpi ).

